

**Janusz Aleksandra**

## **Światłocienie**

Z „Fahrenheit”

ilustracje Małgorzata "Asfodel" Jakubiak

*"(...)Nie ma nic znajomego, co by wrócić po śladach*

*A boję się zapytać stojących na rogach*

*I tak budzę zdziwienie na twarzach zewsząd*

*Niemal wypisane mam na czole, że nie jestem stąd (...)"*

**Kazik Staszewski, "Zagubiłem się w mieście 3"**

A deszcz wciąż padał i padał, spływając po jego twarzy, skapując z kosmyków jego czarnych włosów. Zabłąkana kropla wody perliła się w zagłębieniu między zmarszczonymi brwiami, a on nawet nie uniósł ręki, by ją strząsnąć. Wpatrywał się w jakiś daleki, nieokreślony punkt na horyzoncie i zaciskał pięści.

Wymierzył sprawiedliwość, ale wcale nie czuł się przez to lepiej. Wiedział, że jego misja jeszcze nie dobiegła końca. Istniało wiele innych potworów w ludzkiej skórze, które także zasługiwały na śmierć. Kiedy o tym myślał, krew wrzała w jego żyłach. Pragnienie, aby oczyścić cały świat z tego plugastwa, było tak przytłaczające, że niemal mąciło mu zmysły.

I tylko w najgłębszym zakamarku jego duszy szeptał stłumiony głos, który nazywał to pragnienie zwykłą żądzą zabijania.

\* \* \* \* \*

Deszcz wciąż padał i padał, miarowo stukając o szyby. Wiatr niespokojnie targał ogołoconymi z liści gałęziami starych jabłoni. Ponura, wiekowa rezydencja, zwana przez jej mieszkańców Domem Wschodzącego Słońca, wydawała się dziwnie obnażona o tej porze roku. Stary jabłoniowy sad, latem zaniedbany i gęsty jak nie przymierzając amazońska dżungla, teraz straszył widokiem poskręcanych, czarnych konarów, zaś różane krzewy przeistoczyły się w kępy suchych badyli. Zwiędły bluszcz odsłaniał szare, kamienne ściany, obłożone z farby balustrady i zamknięte na głucho dębowe okiennice. Od strony ulicy zasłaniał willę jedynie gęsty, wiecznie zielony żywopłot z bukszpanu.

Był już wieczór, dochodziła siódma. W salonie Domu Wschodzącego Słońca panował spokój. Gazety, poduszki i komiksy zaściewały zdeptany dywan, tworząc artystycznie nieporządną kompozycję. Staroświecki fotel, wygnieciony od długotrwałego użytkowania, zdawał się wspominać dawne czasy. Na stoliku z drzewa orzechowego położyła szachownica cierpliwie oczekiwała na powrót graczy; towarzystwa dotrzymywał jej opróżniony do połowy porcelanowy imbryczek i cztery puste filiżanki. Pozostawiony na fortepianie talerz, pełen okruchów po ciastkach, nęcił domowe duchy. Senność czaiła się w powietrzu.

W miękkim świetle witrażowych lampek wszystkie cienie były wielkie i nieostre. Wiszące na ścianach pejzaże i portrety mamiły wzrok, sprawiały wrażenie, jakby żyły własnym życiem.

Gabriel Shade, jasnowłosa młodzieniec o urodzie, która nie pozwala dziewczętom spać po nocach, siedział na brązowej kanapie i leniwie pobrzakiwał na gitarze. Wydawać by się mogło, że umyślnie usadowił się pod takim kątem, aby żółte światło lampki od Tiffany'ego odbijało się intrygującym refleksem w jego złocistych puklach. Najprawdopodobniej tak właśnie było.

Na dywanie leżała Eunice Wight, na pierwszy rzut oka nastoletnia miłośniczka muzyki ciężkiej. Odziana w bojówki i długi, ciemnozielony sweter, dumna posiadaczka krótkiej, ufarbowanej na zjadliwie czerwony kolor czupryni, kontrastowała z malowanym w przygaszonych barwach otoczeniem. Czytała jeden ze starych numerów Avengers i dłużyła paznokciem w zębach.

Gdyby obserwowali ich ktoś – ktokolwiek, komu nie były obce zakurzone tajemnice, dawne moce i zapomniane sekrety, z całą pewnością zauważyłby otaczającą ich delikatną aurę. Z pozoru wyglądali zupełnie zwyczajnie – pomijając oczywiście nieprzeciętną urodę gitarzysty – szósty zmysł podpowiadał jednak, że byli to ludzie niezwykli.



Prowadzące na piętro schody zaskrzypiały lekko; z góry do salonu schodziła niespiesznie czarno odziana, wysoka postać. Długi, postrzępiony cień rozpostarł się na ścianach, poręczach, na zdobiących salon starych obrazach. Nietrudno było zauważyć, że przyćmione oświetlenie stanowi jedynie częściową przyczynę tego osobliwego efektu.

W tym domu żaden mag nie musiał ukrywać swojej tożsamości. Nienormalność była tutaj tak naturalna, jak gdzie indziej krawat oraz spodnie zaprasowane w kant. Opiekuńcze duchy podsypiały w ciemnych kątach lub też ukradkiem podążały za swoim czarodziejem, tak

jak wspomniany postrzępiony cień. Zabłąkane okruchy legend wpadały przypadkowo do herbaty. Echa zabaw sprzed siedemdziesięciu lat szeleściły w firankach. Zużyta magia wbiła się w dywan tak głęboko, że już żadne trzepanie nie mogło jej stamtąd wykurzyć (co innego pralnia chemiczna, ale przecież zabytków nie skazuje się na tak nieromantyczny los). Salonowa biblioteczka przyprawiłaby o zachwyt każdego zdeklarowanego bibliofila, a w pokojach na piętrze, które pełniły rolę rupieciarni, dałoby się zapewne znaleźć nawet zaginiony tom "Poetyki" Arystotelesa.

Mężczyzna, który właśnie zjawił się w salonie, wyglądał jak namalowany tuszem przez zdolnego rysownika. Ubrany był na czarno – sweter, spodnie i długi płaszcz, bez półcieni i dodatków w innych barwach. Włosy też miał czarne, półdługie i związane w schludny kucyk. Przywodził na myśl bohatera, który chwilę wcześniej zszedł z karty komiksu. Mimo to w jego zachowaniu nie dało się wyczuć ani odrobiny pozerstwa. To nie był jeden z tych ponurych młodzieńców, dla których mrok stał się sposobem na życie. Z pewnych sobie wiadomych względów Lloyd Dark już dawno przyjął taki styl.

Trudno było zapomnieć Lloyd'a, kiedy już raz miało się z nim do czynienia. Rysy jego twarzy zdradzały częściowo azjatyckie pochodzenie, mierzył jednak przy tym prawie dwa metry wzrostu. Wyglądał na człowieka znużonego życiem, ale spojrzenie miał przenikliwe, bystre i czujne. Największe wrażenie na rozmówcach robił jednak jego głos – nieprawdopodobnie niski, chwilami przechodzący w pomruk, przy dobrej akustyce niemal wprawiający w drżenie szyby.

Jako, iż bycie magiem nie oznaczało jeszcze odcięcia się od wszystkich spraw rzeczywistego świata, mieszkańcy Domu Wschodzącego Słońca siłą rzeczy musieli zarabiać na utrzymanie. Lloyd pracował

w klubie "Syriusz" jak ochroniarz i był niewątpliwie najbardziej osobliwym "bramkarzem", którego zatrudniono tam od początku istnienia rzeczzonego lokalu. Nie trzeba dodawać, że wraz z pojawieniem się Lloyda w charakterze ochrony bezpieczeństwo w klubie "Syriusz" zdecydowanie wzrosło. Już samo wrażenie, jakie wysoki pół-Japończyk wywierał na odwiedzających, wystarczyło, aby co poniektórych całkowicie opuszczała ochota na wszczynanie awantur.

O tej porze właśnie ów zadziwiający człowiek wybierał się do pracy, aby z premedytacją peszyć zwykłych śmiertelników swoim groźnym wyglądem, stoickim wyrazem twarzy oraz rękonością przypasanej katany, wystającą spod poły płaszcz. W przeciwieństwie do Gabriela, Lloyd nie pozował. Ten sposób bycia od zawsze leżał w jego naturze...

Stojąc u podnóża schodów i opierając silną dłoń na rzeźbionej poręczy, Lloyd Dark przyglądał się przez chwilę swoim przyjaciółom. Jako drugi pod względem wieku i doświadczenia mag w mieście Farewell oraz właściciel Domu Wschodzącego Słońca, był odpowiedzialny za większą część magicznej społeczności. Krzysztof, tutejszy nestor czarnoksięskiego rodu, od czasu śmierci swej długoletniej towarzyszkii Kai pędził żywot samotnika i rzadko kontaktował się z pozostałymi. Tak więc to na barkach Lloyda spoczywała opieka nad młodszym pokoleniem magów, takich jak nastoletnia Eunice oraz kapryśny Gabriel (ten ostatni był w zasadzie dużo starszy, niż by się wydawało, ale Lloyd wciąż uważał go za młodzieńca).

– Cóż porabiacie? – zapytał lakonicznie. Miał odrobinę staroświecki akcent

– Ja zajmuję się sztuką, czyli niczym... – westchnął teatralnie Gabriel, wykonując pokazową palcówkę na gitarze. Eunice parsknęła śmiechem, wtykając nos w archiwalny numer Avengers.

– Ćwiczy podrywanie piszczących fanek – oświadczyła kąśliwie. – A w szczególności rudych nimf.

– Coś takiego, czyżbyś miała na myśli siebie? – odciął się artysta. – Zdawało mi się, że nimfy są dużo ładniejsze...

Eunice rzuciła w niego podwójnym wydaniem specjalnym Avengers.

– Ach tak – rzekł Lloyd, unosząc lekko brwi. – Widzę, że u was wszystko gra. Tim, jak rozumiem, wciąż siedzi przy tej swojej maszynie?

– Mówiłam mu, żeby nie wlamywał się do Microsoftu, ale nie wiem, czy mnie posłucha... – rzekła Eunice wesoło. – Jeszcze się kiedyś dowiemy, że przejął władzę nad światem. Może zresztą już to zrobił, tylko nam nie powiedział..

– Ponieważ w sklepach nadal można legalnie dostać wątróbkę, wnioskuje, że jeszcze mu do tego daleko – zauważył Gabriel. – Lloyd, wstąp proszę w drodze powrotnej do nocnego i kup mleko. Wyszło już całkiem.

– Doprawdy? W takim razie sam idź na zakupy – rzekł stary mag, uśmiechając się szeroko. – Jest jeszcze wystarczająco wcześnie. Powiadają, że spacery w deszczu doskonale wpływają na cerę, co, jak mniemam, powinno wzbudzić twe zainteresowanie.

– Prawda, deszcz poprawia cerę, za to strasznie niszczy włosy! – zripostował Gabriel, wzdychając z udawaną rozpaczą, po czym odezwał się już zwykłym tonem. – Uważaj, jak będziesz jechał, są dzisiaj korki na Dziewiątej Alei.

– Wiem – skinął głową Lloyd. – Nie sądzę, abym miał kłopoty z ich ominięciem.

Nie, korki nigdy nie stanowiły problemu dla Lloyda. Nieważne, z jak dalekiego objazdu korzystał, zawsze zdążał na umówioną godzinę. Ta zadziwiająca punktualność była skutkiem delikatnej manipulacji czasoprzestrzenią, na tyle nieinwazyjnej, że Rzeczywistość nawet nie zauważała ingerencji. Mając ponad stuletnie doświadczenie w wodzeniu Rzeczywistości za nos, Lloyd doskonale wiedział, jak to należy czynić.

\* \* \* \* \*

Drobne krople deszczu z monotonną regularnością rozpryskiwały się na lśniące, czarno lakierowanej blasze, gdy mag, zaopatrzonej już w kask i rękawice, wyprowadzał z garażu swój słynny motocykl. Był to stary Harley, model FLH Duo Glide z roku 1960. Lloyd zajmował się nim tak starannie, jakby było to jego dziecko. Ponieważ zaś dodatkowo przez te wszystkie lata sączył weń magię, czasem niemal podświadomie (co często zdarza się czarodziejom, przyzwyczajonym do własnej niezwykłości), próżno by szukać w okolicy miasta Farewell – a może i na całym świecie – bardziej zadbanej maszyny. Motocykl Lloyda, tak

samo jak należące do Gabriela auto – czerwony Dodge – już dawno nabrał przy tym wielu innych zadziwiających właściwości. Przemykając po ulicach niczym duch zapomnianych lat sześćdziesiątych, był dowolnie cichy lub głośny, zależnie od aktualnych intencji właściciela. Wyprzedzał wszystkie inne pojazdy. Potrafił oczekiwać na maga dokładnie tam, gdzie ten go potrzebował, zupełnie niczym wierny rumak.

Wyglądał przy tym bardziej imponująco, niż pierwszy motocykl Lloyda – przedwojenny Ace, który nadal spoczywał w kącie garażu, również zadbany, lecz uruchamiany tylko przy okazji zjazdów. Jako zdeklarowany miłośnik dwóch kółek, stary mag uczestniczył od czasu do czasu w zlotach motocyklowych.

Mokre liście lepiły się do opon, wszechobecny zapach ziemi nasiąkniętej listopadowym deszczem unosił się w wilgotnym powietrzu. Lloyd otworzył bramę, wrócił do swojego Harleya i uruchomił go, z zadowoleniem uśmiechając się na znajomy dźwięk pomruku silnika. Potężny snop światła reflektora zabłysł jasno niczym blask czarodziejkiej różdżki, ukazując pożółkłą trawę i pogrążone już w zimowym letargu krzewy. Jak co wieczór, mag opuszczał ciepły azyl i bezpieczne schronienie zwane Domem Wschodzącego Słońca i jak co wieczór, obserwowały go bystre oczy Eunice, przylepiającej nos do szyby w salonie.

Wciąż padał deszcz.

\* \* \* \* \*

Miasta nocą budzą się do nowego życia, całkowicie odmiennego od tego, którym tętnią za dnia. Gdy jedne ulice pustoszeją, stając się betonowym labiryntem, w którym hula wiatr, inne zapełniają się chorobliwym tłumem, dziwnymi przechodniami dawno odzwyczajonymi od słonecznego światła, całkiem jak wampiry, tylko że zamiast krwi pijają mrok ludzkich dusz. Są wśród nich krzykliwi na wpół pijani młodzieńcy, są jaskrawo umalowane kobiety, dla których rozkosz stała się obowiązkiem; są ludzie zabijający swoje mózgi zakazaną chemią i ci, którzy im te środki sprzedają. Kolorowe neony krzyczą nad brudnymi witrynami; zwykłe sklepy goszczą jeszcze spóźnionych klientów, przyjeżdżających i odjeżdżających w swoich wygodnych autach, całkowicie odciętych od tego obcego świata. Inne, mniej szacowne przybytki właśnie rozpoczynają czas najbardziej ożywionej działalności. Ukryte w bocznych uliczkach i na wyższych piętrach obskurnych bloków, demokratycznie przyjmują osobistości ze wszystkich społecznych warstw, jako jedyne kryterium stosując zasobność portfela.

Na piętrach dolnych, w miejscach wypełnionych dymem i głośnie muzyką, gdzie króluje tanie piwo, bilard i automaty do gry w rzutki, zbierają się ludzie szukający prostej rozrywki po bezbarwnym dniu pracy. Gdzie indziej, przychodzą, by drżącymi dłońmi składać ofiary z żetonów złośliwym "jednorękim bandytom", z wypiekami na policzkach czekając na wielką wygraną, która nigdy nie nadchodzi. Są też kluby, w których ludzie przede wszystkim tańczą, udając lepszych, piękniejszych i weselszych niż w Rzeczywistości, bardziej nieprawdziwi niż najbardziej niewiarygodne z iluzji Lloyda. I wszyscy, co do jednego, są w głębi serca samotni, nawet jeśli twierdzą inaczej. Nocne miasto połyka ich dusze w całości.

Lloyd Dark jest obok; mija ten gwar na swoim czarnym motocyklu niczym XXI-wieczny easy rider, tragicomiczny anachronizm minionej epoki. Emanuje jednak dostojeństwem i pewnością siebie, tak że niektórzy spoglądają w jego kierunku z podziwem, na krótką chwilę przestając się spieszyć. Potem jednak zapominają o nim, pochłonięci własnymi sprawami, niezdolni do myślenia o czymś innym niż chwila obecna.

Wkrótce mag skręcił w jedną z mniej uczęszczanych ulic. Tam, tuż za rogiem, widać było poobklejany starymi afiszami, niewysoki budynek. Neonowy szyld nad wejściem głosił "Syriusz", z wewnątrz zaś dobiegała głośnie muzyka. Lloyd zostawił motor na parkingu w pobliżu tylnego wyjścia i udał się do środka. Był to zwyczajny klub studencki, taki, jakich wiele. Niemal co wieczór grała tu inna garażowa kapela, zaś na specjalne okazje zapraszano grupy bardziej znane, choć w dalszym ciągu znajdujące się na niskim szczeblu komercyjnej drabiny. Niejeden raz odbył się tutaj koncert "Neverlandu" Gabriela. Właśnie w chwili, w której Lloyd witał się z resztą personelu, odtwarzano z płyty jedną z piosenek zespołu. Mag

poczuł się trochę dziwnie, słysząc mocny głos przyjaciela zwielokrotniony przez głośniki, docierający aż na zaplecze, przy akompaniamencie jęczących gitar opowiadający starą historię o zatrutym mieście...

*Koszmarne sny i drżące dłonie  
Każda łyżka strawy to śmiertelna trucizna  
Nie zabije cię od razu  
Nie zabije cię od razu  
Pozwoli – pozwoli – umierać powoli*

– Cześć Lloyd, widzę, że już jesteś. – Łysawy człowieczek z obsługi technicznej uśmiechnął się szeroko.  
– Witaj. – Mag w czarnym płaszczu skinął głową, wymijając go w ciasnym korytarzu na zapleczu. Odrapane ściany drżały lekko od dobywających się zza nich dźwięków.

*Bardzo źle się dzieje  
W miasteczku Minamata  
Fabryki pracują  
Chorzy leżą na matach*

Lloyd pamiętał, kiedy Gabriel komponował ten kawałek. Był wtedy sam środek upiornie gorącego lata, niedługo po tym, jak zwalczyli plagę zmutowanych sinic, które zarosły ogród oraz część miejskiej kanalizacji. Na kilka następnych dni artystę opanował zupełny obłęd; Gabriel snuł się po całym domu, układając piosenki o bohaterach i wydarzeniach z dawnych lat. Wiekowy mag siłą odwiódł go od napisania utworu o nim, o Lloydzie Dark. Piosenkarz wymyślił więc coś zastępczego.

*Starzy ludzie nie wstają z łóżek  
W żyłach małych dzieci płynie rozedrgana śmierć  
Nie zabije ich od razu  
Nie zabije ich od razu  
Pozwoli – pozwoli – umierać powoli*

Jak na ironię, jest to doskonała metafora dla opisanie niektórych miejsc w tym mieście, pomyślał Lloyd z goryczą, przypinając identyfikator. Pogrążony w myślach, omal nie wpadł na Dużego Johna, jednego z pozostałych ochroniarzy.  
– Ej, uważaj! – zawołał tamten. – I leć lepiej szybko na bramkę, postawili tam tego nowego żółtodzioba. Pierwszy dzień w pracy. Żeby czego nie schrzanił.  
Czarodziej skinął głową i pospieszył w kierunku wyjścia na salę.

*Bardzo źle się dzieje  
W miasteczku Minamata  
Tu nawet kot  
Tu nawet kot  
Nie może ustać na czterech łapach*

Uderzyła go fala dźwięków, niemalże namacalna. Barwne reflektory drażniły jego oczy przez krótką chwilę, przyzwyczał się jednak szybko. Trzymając się blisko pokrytych artystycznym grafitti ścian, wyminał skłębionych w tanecznym zapamiętaniu młodych ludzi. Nie było ich jeszcze zbyt wielu; wieczór dopiero się zaczął. Mimo to kilkunastu zapaleńców pogowało już pośrodku sali, nie czekając na przybycie gościnnej kapeli.  
Przy drzwiach wejściowych, w pobliżu bramki dostrzegł jakieś zamieszanie; przyspieszył więc kroku. To, co zobaczył, skłoniło go do szybkiej reakcji.

Nowy ochroniarz, typowy młody osiłek o szerokich barach i ogolonej głowie, szamotał się rozpaczliwie z pijanym w sztok gigantem, wykrzykującym jakieś przekleństwa. Krzywy nóż w dłoni olbrzymia połyskiwał groźnie. Dookoła zgromadziło się kilku nierozsądnych gapiów. Sytuacja wymagała natychmiastowej interwencji...

Nawet ci, którzy dokładnie przyglądali się całemu zajściu, nie byli potem w stanie szczegółowo odtworzyć walki w pamięci. Zobaczyli człowieka w czarnym płaszczu zbliżającego się do przeciwników; z pomocą jakiegoś chwytu błyskawicznie rozdzielił walczących i szybkim uderzeniem obezwładnił napastnika. Nóż z brzękiem uderzył o betonowe schodki, agresor zaś osunął się na kolana, wydając z siebie bolesny jęk. Kulił się na podłodze, z trudem próbując zaczerpnąć oddech. Gdy zaś podniósł wzrok, nie wiedząc właściwie, skąd nadeszły ciosy, napotkał zimne spojrzenie ciemnych, lekko skośnych oczu. Błady strach przebił się przez opary alkoholu.

– Wstęp osobom nietrzeźwym i uzbrojonym surowo wzbroniony – rozległ się cichy, niesamowicie niski głos.

– K...kurwa... – wykrztusił olbrzym żałością, cofając się tak prędko, jak tylko był w stanie. Dźwignąwszy się wreszcie z trudem, natychmiast wzięął nogi za pas.

Widząc pełne podziwu spojrzenia i słysząc wypowiedziane półgłosem komentarze, Lloyd poczuł ogarniające go zniecierpliwienie. Wypełnił tylko swój obowiązek i nie miał zamiaru wywoływać sensacji, tymczasem kilka osób zgromadziło się dookoła, blokując przejście. Gdzieś błysnął flesz i to już wyjątkowo nie spodobało się magowi. Jeszcze tylko tego brakowało, jego zdjęcia w jakiejś brukowej gazecie. Odszukał wzrokiem fotografa i wysłał w kierunku aparatu niedostrzegalny dla laików impuls mocy, całkowicie prześwietlając kliszę.

– Niech państwo się zdecydują, czy chcą wejść, czy wyjść – odezwał się donośnie i machnął dłonią jakby przeganiał muchy. – Proszę nie robić zbiegowiska i ustawić się w kolejce.

Choć lakoniczne, słowa poskutkowały; Lloyd emanował autorytetem.

– To było zajebiste. Z ciebie to jednak zawodowiec... – oznajmił nowy ochroniarz z aprobatą. Mag przyjrzał mu się uważnie. Jego współpracownik wyglądał na osobnika przywykłego do używania siły, oblicze miał jednak nieskażone głębszą myślą. Lloyd westchnął.

– Miło mi słyszeć taki komplement, uważam jednak – popatrzył na jego identyfikator – Darrenie, że jeśli widzisz kogoś potencjalnie groźnego, powinienes zawiadomić resztę ochrony, zanim dojdzie do walki. Od czegoś masz krótkofalówkę.

– Ten teges – zmieszał się Darren. – No jasne.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. – Skinął głową mag, siadając na krześle w pobliżu bramki i wyjmując z kieszeni niewielką książkę.

– Ten, no. – Nowy ochroniarz wciąż gapił się na Lloyda z wyraźnym zainteresowaniem w małych oczkach. Z każdą chwilą nasuwało mu się coraz więcej skojarzeń z różnymi filmami sensacyjnymi. – A co czytasz?

– Wilde'a – odpowiedział mag lakonicznie, otwierając powieść.

– A kto to napisał? – zapytał Darren uprzejmie.

Lloyd zamknął książkę i popatrzył mu prosto w oczy, szukając sarkazmu. Nie znalazł nawet śladu ironii. Westchnął ponownie.

– Wilde, Oscar Wilde, to nazwisko pisarza – uświadomił kolegę.

– Aha. A ten twój miecz – Darren zerknął na kataną, z którą mag nigdy się nie rozstawał. – To prawdziwy...?

– Prawdziwy, prawdziwy – pokiwał głową Lloyd. – Ale nie bój się, mam zezwolenie.

Darren zamilkł na chwilę, zresztą musiał, ponieważ kolejka nieco się zagęściła i przez dłuższą chwilę obaj byli zajęci kontrolowaniem ludzi wchodzących do klubu. Gdy zrobiło się luźniej, ochroniarz znów spojrzął na maga, czytając jego identyfikator.

– Lloyd Dark? To ty jesteś Lloyd Dark?

– Owszem – rzekł czarodziej, nieco zaintrygowany. Czyżby nowy nabytek "Syriusza" zdążył już wysłuchać kilku miejscowych legend?

Nie o to jednak, jak się okazało, chodziło.

– Mam coś dla ciebie – wyjaśnił Darren, wręczając mu zaklejoną kopertę. – Dostałem od jednego faceta przed klubem, kazał mi to dać Lloydowi Dark.

Mag zmarszczył brwi, oglądając list. Niewątpliwie była to anonimowa przesyłka zaadresowana do niego. Drobne zakłęcie, wystosowane w celu sprawdzenia zawartości koperty nic mu nie powiedziało. Przesyłka została zabezpieczona przed magią i ten fakt sprawił, że w umyśle Lloyda zapaliły się wszystkie lampki alarmowe.

– Jak ten człowiek wyglądał?

– No, jak Japończyk.– Wzruszył ramionami ochroniarz. – Mały i ze skośnymi oczami.

Boże, ty słyszysz i nie grzmisz, pomyślał mag, wbijając spojrzenie w sufit. Kopertę schował do kieszeni. Ktoś mógł się bawić w terrorystę, w środku mogło znajdować się coś niebezpiecznego, a on nie zamierzał narażać postronnych. Z drugiej strony, jeśli chodziło o jakąś ważną, pilną sprawę...

– Obawiam się, że muszę zejść na chwilę z posterunku – powiadomił kolegę. – Mam nadzieję, że sobie poradzisz. Takie incydenty, jak ten dzisiejszy, nie zdarzają się często.

– Pewnie, że sobie poradzę – rzekł Darren, teraz już całkowicie przekonany, że ten dziwny człowiek jest co najmniej żołnierzem mafii, jeśli nie drugim Jamesem Bondem...

\*\*\*\*\*

Zza pokrytej szpetnymi zaciekami ściany klubu docierały echa muzyki, poza tym jednak listopadowa noc była cicha i spokojna. Lloyd schronił się przed deszczem pod wąskim pasem blaszanego dachu i ostrożnie, asekurując się magią, powoli otworzył kopertę.

W środku znajdowała się pojedyncza kartka, złożona we czworo. Mag rozprostował list...

Przez chwilę właściwie nie docierało do niego, na co patrzy. Potem Lloyd, zazwyczaj taki spokojny i niewzruszony, wydał z siebie zduszony jęk; zbladł, jakby ujrzał upiora, co nie było zresztą tak dalekie od prawdy.

Kserokopie gazet pochodzących z końca XIX wieku, "Kuriera Farewell" oraz "Voice". Zdjęcia i nagłówki. A pod spodem japoński napis, starannie wykaligrafowany pędzelkiem. Tylko jedno słowo.

*"Oboeru?" "Pamiętasz?"*

Pamiętał. Nigdy nie mógłby zapomnieć tych twarzy. Nie myślał o nich cały czas; to już dawno należało do przeszłości. Czasem jednak wracały, dręcząc go w sennych koszmarach...

\* \* \* \* \*

Chrzęst okularów pod butem... metaliczny blask na ostrzu miecza. Drobnym mężczyzną stoi przyparty do ściany, przerażonym spojrzeniem wpatruje się w wysoką sylwetkę wyłaniającą się z cienia. Oddycha szybko, głośno i nierówno, zasłania się chudymi, poplamionymi atramentem dłońmi. Jego prześladowca nadchodzi powoli, krok po kroku, spojrzenie ma zimne, beznamienne. Nie pomoże błaganie o litość. Dla sług zła kara jest tylko jedna...

Krew spływa po lśniąącym ostrzu, rozmywając się w deszczu.

\* \* \* \* \*

Otyły człowiek szarpie za klamkę luksusowego samochodu. Jeszcze do końca nie zdaje sobie sprawy z tego, że nie ma ratunku, że to już koniec. Jeszcze do niego nie dotarło, co zamierza uczynić nieznamytny uzbrojony w japoński miecz stojący przed drzwiami zamiast szofera. Takie miecze rozcinają upuszczone na ostrze jedwabne chusteczki. Otyły człowiek napotyka wzrok tamtego. Oczy szaleńca. Obezwładniający lęk...

Krew spływa po lśniąącym ostrzu.

\* \* \* \* \*

*Martwe twarze. Szkliste oczy. Głowy oddzielone od ciał jednym cięciem.  
Spojrzenia w chwili przedśmiertnej – przerażone, zaskoczone, niedowierzające...*

Upiory sprzed stulecia...

Lloyd zmiażdżył kartkę i z pełnym frustracji syknieniem cisnął ją na ziemię; przez kilka następnych chwil uporczywie wpatrywał się w kulkę papieru. Trudno było zgadnąć, jakie myśli kłębiły się w jego głowie, jak

człowiek z mieczem przyjął dawne koszmary powracające pod postacią złośliwych cieni. Któż powie, co może dziać się w duszy ponad stuletniego maga?

Nagle drgnął. Czy coś usłyszał, czy też tylko mu się wydawało? Listopadowy deszcz tłumiał wszystkie inne dźwięki. Mimo to, wiedziony wypracowanym przez dziesiątki lat szóstym zmysłem, Lloyd wiedział, że ktoś schował się za blaszaną wiatą, pod którą stał rządkiem przepelnionych śmietników. Ktoś niebezpieczny. Mag błyskawicznym ruchem dobył katany o ostrzu zdolnym przecinać czasoprzestrzeń. Zdawało się, jakby wraz z tym czynem świat uległ niewielkiej, ledwie odczuwalnej zmianie...

– Niczego innego nie spodziewałem się po tobie, Hiro-san.

Te słowa zostały wypowiedziane po japońsku, w języku, którego Lloyd nie słyszał obecnie zbyt często. Znał go jednak doskonale, gdyż była to mowa jego matki.

Nieznamy wyłonił się z cienia. Był raczej drobny, odziany w dżinsy i brązowy płaszcz; w dłoniach również dzierżył miecz. Twarz skrywał pod kominiarką. Kominiarka! Jakby nie umiał znaleźć dla siebie odpowiedniej iluzji – jeśli był na tyle tchórzliwy, aby pozostać zamaskowanym.

– Brak ci dobrych manier i odwagi, skoro nie chcesz pokazać mi swej twarzy – rzekł Lloyd, pozornie beznamiętnie wpatrując się w przybysza. Tylko najbliżsi przyjaciele maga zauważyliby drobne oznaki świadczące o jego wzburzeniu. – Czyżbyś obawiał się tajemnic, które poznałeś? Oczekuję wyjaśnień. – Nawet się nie zdziwiłeś. – W głosie nieznanego dało się słyszeć wahanie. – Nie zapytałeś, skąd znam... – Imię, które nadała mi matka – odpowiedział Lloyd. – Nie, nie zapytałem. Wciąż czekam na bardziej wyczerpującą odpowiedź.

– Ty potworze... – syknął przybysz; jego ręce lekko zadrżały. – *Akuma*<sup>2</sup>...

Lloyd skrzywił się, mocniej zaciskając dłoń na rękojeści.

– Ty podły, fałszywy gadzie... – kontynuował tamten. – Udajesz, że się zmieniłeś, że jesteś kimś innym, ale ja wiem, że stoi przede mną ten sam wilk w owczej skórze...

– W ten sposób – rzekł cicho mag – w ten sposób nie sprowokujesz mnie do walki. Skończyłem z tym. Nie dałeś mi dostatecznie dobrego powodu, abym podniósł na ciebie broń.

– Mówisz o tym tak lekko, jakbyś zrezygnował z jakiejś rozrywki czy też nawyku – powiedział Japończyk z goryczą. – Tymczasem zbrodnia pozostaje zbrodnią, niezależnie od tego, ile czasu upłynęło od jej popełnienia. Sto lat nie wystarczy. Nawet pięćset lat by nie wystarczyło.

– Nigdy nie twierdziłem czegoś przeciwnego – mruknął Lloyd, opuszczając głowę. Deszcz spływał po gładkiej klindze miecza. – I niczego nie udaję. Po prostu już nie zabijam... chyba, że bronię czyjegoś życia. Przeszkadza ci to, człowieku bez twarzy? – zapytał mag sarkastycznie. – Powiedz, czego chcesz albo odejdz i zostaw mnie w spokoju.

– Nazywam się Takeda – przedstawił się nieznamy. – Przybyłem tu po to, abys zapłacił wreszcie za swoje czyny. Stoczmy uczciwą walkę.

– Czy to jest wyzwanie, Takeda-san? – spytał Lloyd.

– Tak, to jest wyzwanie. Tradycyjne. Honorowe – potwierdził Takeda.

– W takim razie – rzekł mag spokojnie – zostało ono przyjęte.

Lloyd zatoczył lewą ręką szeroki łuk; delikatny zapach mocy rozprzestrzenił się w powietrzu, zmieszał z wonią miejskiego deszczu.

– Niechaj nikt nam nie przeszkodzi, czy jest istotą z tego świata, czy też spoza niego... – oznajmił na głos, upewniając się, że sfery wzięły pod uwagę jego zastrzeżenie. W ten sposób czarodziej nagiął czasoprzestrzeń tak, aby żaden przechodzień nie znalazł się w pobliżu podczas walki. Co nie znaczyło, że nikt *nie mógł* tutaj podejść. Po prostu przypadek działał na korzyść toczących pojedynek magów.

Młody czarny kot, wylegujący się do tej pory na pokrywie jednego ze śmietników, stwierdził, że nie chce mieć z tą sceną nic wspólnego. Nagle przestało być zabawnie i zrobiło się trochę zbyt niebezpiecznie. Kot postanowił odwiedzić wujeczną siostrę mieszkającą kilka domów dalej, z cichym miauknięciem zeskoczył ze śmietnika i odwiecznym kocim zwyczajem podążył swoją drogą.

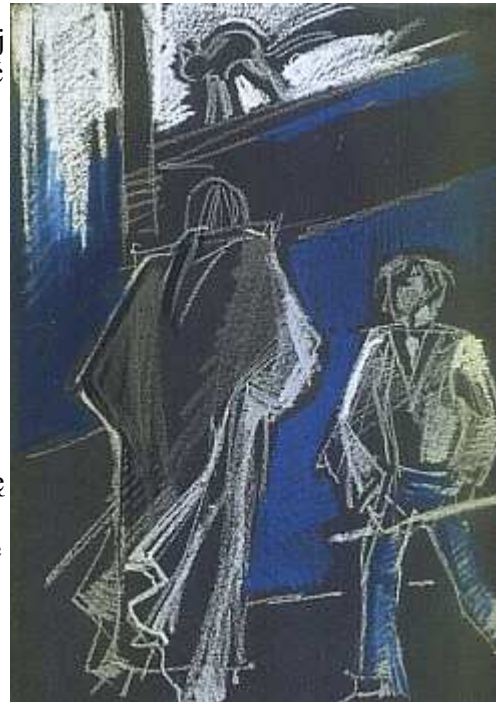
Mokre włosy Lloyda lśniły głęboką czernią w słabym świetle ulicznych lamp. Nagły podmuch wiatru załopotał w połach jego płaszcza. Mag uważnie obserwował całą postać przeciwnika, gotów wychwycić wzrokiem najdrobniejszy ruch. Wyglądał niczym archetyp wojownika, szermierza – cudotwórca, zdolny wbiegać po ścianach i odbijać strzały mieczem. Oczywiście, doskonale o tym wiedział. Spraw, aby ludzie uwierzyli, że potrafisz wszystko, a tak się stanie – oto prawo, które niejednokrotnie uratowało mu życie. Mógł dokonywać rzeczy teoretycznie możliwych tylko w filmach, ponieważ łączna ludzka podświadomość,



ukształtowana z pomocą tych filmów pozwalała mu na to. Nie potrzebował dodatkowej koncentracji, dodatkowego wydatku mocy. Nie narażał się na zemstę Rzeczywistości – tym razem miał ją całkowicie na swoich usługach. Gra wzorców – któż w Farewell jej nie uprawiał? Takeda wbrew pozorom mógł rozumieć istotę tego prawa. Jako zamaskowany mściciel zdobywał przewagę w świecie stereotypów, powielanych w dziesiątkach serii i milionach egzemplarzy cienkich komiksowych zeszytów. Na jego korzyść działał również wygląd: był dosyć drobny i miał na sobie wytarte dżinsy, ulubione przez rozmaitych znanych herosów.

Czym innym jest jednak zapewnienie sobie przychylności prawdopodobieństwa, czym innym zaś wykorzystanie uzyskanych w ten sposób możliwości. Tutaj już liczyły się umiejętności i doświadczenie...

Stali tak naprzeciwko siebie, mierząc się spojrzeniami; każdy z nich studiował swego przeciwnika wzrokiem. A ponieważ obaj byli w stanie dostrzec aspekty, o których istnieniu nie mógł mieć pojęcia żaden zwykły śmiertelnik, scena pojedynku wyglądała dla nich trochę inaczej, niż w oczach ewentualnego przypadkowego obserwatora. Takeda widział olbrzymi, poszarpany cień rzucony przez adwersarza. Wysoki mag przyjął do wiadomości istnienie białego żurawia, który objawił się za plecami Japończyka. Duchy opiekuńcze uznały za stosowne uwidocznić swoją obecność...



Takeda pierwszy stracił cierpliwość, wypadł naprzód z kataną w dłoniach. Ale Lloyd nie wyszedł mu naprzeciw. Natychmiast rozpoznał styl walki i jego oczy rozszerzyły się w nagłym zdumieniu. Błyskawicznie odskoczył na bok; nie zamierzając się na Japończyka.

– Stój! – krzyknął, na powrót chowając miecz. – Nie możemy ze sobą walczyć!

– Dlaczego nie? – zapytał Takeda. Nadal dzierżył w dłoniach obnażoną kataną, nie mógł jednak zaatakować bezbronnego.

Mimo to pozostawał czujny na wypadek fortelu. – Wyzwałem cię, a ty przyjąłeś wyzwanie. Czyżbyś stchórzył, Hiro-san?

– Nie wiem, czy jesteś tego świadom – rzekł Lloyd. – Ale znam sposób, w jaki walczysz; do złudzenia przypomina mój własny. Uczyliśmy się u tego samego mistrza. Każdy z nas przysięgał nigdy nie podnosić ostrza na adepta tej samej szkoły, chyba, że w trakcie ćwiczeń. Nie mogę złamać tej przysięgi.

– A ile z nich już złamałeś?! – krzyknął Takeda ze złością. – Splamiłeś honor naszej szkoły, od dawna nie jesteś jednym z nas. Jeśli chodzi o ciebie, nie wiąże mnie żadna przysięga.

– Ale mnie tak – odpowiedział Lloyd, nie pokazując po sobie, jak bardzo zaboląły go słowa przeciwnika. – Nadal czuję się uczniem sensei Ikemury. Nie mógłbym z czystym sumieniem pojedynkować się z tobą, Takeda-san; nie mam żadnego powodu...

– Co jest dla ciebie ważniejsze, Hiro-san... – powiedział cicho Japończyk. – Twoje czyste sumienie czy los pewnej dziewczyny o czerwonych włosach...?

Efekt, jaki te słowa wywarły na Lloydzie przeszedł wszelkie oczekiwania Takedy.

Oczy starego maga zapłonęły wściekłością, rysy twarzy stężyły na podobieństwo maski. Otaczające jego postać cienie, nagle wyostrome i dzikie, tworzyły niesamowity kontrast: czerń i biel, żadnych płynnych przejść. Wpatrując się w Takedę, istotnie przypominał głodnego demona z zaświatów, który właśnie przyszedł po swoją ofiarę. Kiedy przemówił, jego głos dźwięczał we wszystkich sferach, przenikając najgłębsze zakamarki duszy Japończyka.

– CO JEJ ZROBIŁEŚ? GDZIE ONA JEST?

Magia wibrowała w powietrzu.

W tej sytuacji nie dziwny się Takedzie. Nie oceniamy go zbyt pochopnie, nazywając go tchórzem, gdyż doprawdy, większość z nas, postawionych na jego miejscu zmarłaby na atak serca. Nie pogardzajmy nim za to, że zamiast odpowiedzieć, rzucił się do panicznej ucieczki. Wszechogarniający lęk nie pozwalał mu wszak myśleć...

Japończyk biegł najszybciej, jak mógł, klucząc w klaustrofobicznych alejkach, rozbryzgując kałuże, potykając się o puszki po piwie. Za sobą wciąż słyszał odgłos nieustępliwych kroków. Z całym przeszkoleniem, jakie otrzymał, nie powinien był bać się śmierci – i to nie jej się obawiał. Oczy Lloyda, jego wyraz twarzy, pochłaniająca światło aura obiecywały los gorszy niż śmierć. Starsi i bardziej doświadczeni magowie ulegali temu wrażeniu. Takeda mógł tylko uciekać ze wszystkich sił niczym spłoszony żrebak; wiedziony instynktem starał się zgubić swego prześladowcę.

Po jakimś czasie przestał go słyszeć. Zdrowy rozsądek powoli wracał. Japończyk nie wiedział, gdzie się właściwie znajduje – to była jedna z tych obskurnych, ciemnych, bliżej nieokreślonych uliczek, jak one wszystkie cuchnąca moczem i odpadkami.

Takeda odetchnął głęboko, przecierając czoło drżącą dłonią. Nie było mu jednak dane długo cieszyć się spokojem.

– Próbujesz zgubić mnie w MOIM mieście, Takeda-san – ozwał się niski głos. – Łudzisz się przyjacielu....

Zza rogu wyłoniła się spowita w mrok, ledwie widoczna w cieniu sylwetka...

Takeda zachował tylko tyle przytomności umysłu, aby wreszcie skoncentrować się... i zniknąć, wykorzystując niebezpieczną sztukę teleportacji. Spadające krople deszczu zorientowały się w sytuacji z lekkim opóźnieniem, co dało interesujący efekt wizualny.

Lloyd Dark przez chwilę jeszcze spoglądał w miejsce, gdzie przed chwilą stał Takeda-san. Cały gniew, jakim zaledwie przed chwilą emanował stary mag, rozplynął się gdzieś, zniknął, jakby nigdy nie zaistniał. Lloyd sprawiał wrażenie zmęczonego i przygaszonego – nie był już tym straszliwym wojownikiem sprzed kilkunastu sekund.

– Doprawdy... – szepnął. – Tym razem przesadziłeś, Hiro-san!

Po czym zaśmiał się, cicho i gorzko.

Krople monotonnie wystukiwały swój rytm na pobliskich rynnach.

\* \* \* \* \*

*I touch the mirror and I see  
Madness looking back at me  
Buried deep within my mind  
Covered with the time and pride  
All my foes already gone  
They had left me all alone  
I'm fearless, helpless, hopeless.*

*Who will save the savior  
When the fight is over?  
What will do the warrior  
When there is no war  
I have slipped into dreams  
About the long forgotten realms  
Words were bound with honor there  
Now they're meant to neverwhere  
Silence instead battle call  
False words and false world  
No reason to draw my sword.*

*Who will save the savior  
When the fight is over?  
What will do the warrior  
When there is no war  
**Neverland "Last warrior"***

W rwącym, oszalamiającym strumieniu bitów, pojęcie czasoprzestrzeni staje się czymś niebywale zabawnym. To nieprawda, że informatyka wymaga myślenia jednorodnego. Być może jest tak w przypadku podstawowych procedur, ale w niemożliwej do odzwierciedlenia normalnymi zmysłami Ponadsieci przetrwają tylko ci, których mózgi nie są w stanie znużyć się asocjacyjnym przetwarzaniem danych. Piosenki Madonny i wykłady Feynmana, łańcuszki szczęścia i PubMed, artystyczne szkice i kiepskie fanarty, wszystko to razem składa się na zawartość sieci spinającej komputery z całego świata, miesza się, przegryza i reaguje ze sobą, jak w starym babcinym syropie z cebuli. Na bazie chaosu danych i połączeń tworzy się wzór, którego nie jest w stanie dostrzec zwykły śmiertelnik, skomplikowana struktura przez wtajemniczonych zwana Ponadsiecią. Jakby tego nie było dosyć, ta osobliwa pajęczyna też ma swoich żeglarzy, a niektórzy z nich są wręcz niesamowicie sprawni.

Srebrzysta, złożona wyłącznie z informacji nadludzka istota, jaką w tej chwili był Timothy Hawkins – zwany również Sliderem – została zatrzymana w pół drogi z Delhi do Singapuru przez irytujące zakłócenie z zewnątrz.

"Timmy, jesteś tam?"

"To ty, Lloyd? Telepatią do środka Sieci? Wiesz, że to niebezpieczne."

"Do czorta z moim bezpieczeństwem." Tak, archaiczne przekleństwa były zdecydowanie w stylu Lloyda.

"Czy Eunice jest w domu?"

"Śpi spokojnie na górze i chrapie, denerwując Homera." Komputer Slidera, zadziwiający składak zmontowany przez niego osobiście i wciąż poprawiany, lepszy niż większość superkomputerów na świecie został przez swego konstruktora ochrzczony na cześć niewidomego poety. Nie bez przyczyny zresztą.

"Ach, więc blefował. Spodziewałem się tego..."

"Twoje mentalne westchnienie ulgi niemal zerwało mi połączenie. Wyjaśnij, co się stało."

"Opowiem, jak wrócę. Obawiam się, że nie mogę myśleć o tym bez emocji, tak silnych, by bez trudu przepalić ci łącze."

"Aha." Slider zaniepokoił się, ale nie stracił koncentracji – ostatecznie był fachowcem.

"I do tego czasu nie pozwól nikomu wychodzić. Nawet wynieść śmieci."

"Przyjąłem. A teraz się odłącz, generujesz lagi..."

Rozległo się coś na kształt telepatycznego parsknięcia, po czym obecność Lloyda zniknęła.

\* \* \* \* \*

Dochodziła już ósma rano, a Eunice nadal paradowała po salonie w pidżamie i chrupała tosty z dżemem, spóźniając się na zajęcia fizyczne. Gabriel, który nie musiał nigdzie wychodzić o tej zdecydowanie zbyt wczesnej porze, postępował dokładnie tak samo. Zdeklarowane fanki Neverlandu zdziwiłyby się zapewne wiedząc, że ich idol nosi niebieską pidżamkę w misie. Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, być może niektóre z nich uznałyby ten fakt za uroczy.

W kuchni, której od pokoju dziennego nie dzieliła żadna ściana krzątał się Slider. Jak na człowieka niewidomego i dotkniętego częściowym paraliżem radził sobie doskonale. Siedząc na obrotowym krześle, przyrządzał właśnie kanapki z serem – ruchy jego chudych dłoni były ostrożne, lecz pewne i płynne. Timmy nie potrzebował wspomagać magią swoich zmysłów ani też orientacji przestrzennej przy tak prostych czynnościach; jak do tej pory nie potrafił tostera ani opartych o stół inwalidzkich kul, nie zrzucił ani jednej łyżeczki od herbaty. Gdyby ktokolwiek przyszedł mu nieproszony z pomocą, Slider obraziłby się śmiertelnie. Znał swoje ograniczenia, uważał się jednak za osobę samodzielną – i miał rację. Tim Hawkins, ponadsieciowy Superman, całkiem dobrze dawał sobie radę również w zwykłej Rzeczywistości – o ile rzecz jasna Rzeczywistość można kiedykolwiek nazwać zwykłą.

Z miejsca, w którym przebywał, słyszał wszystko, co działo się w Domu Wschodzącego Słońca. Jego wrażliwe uszy wychwytywały brzęk talerza stawianego na fortepianie w salonie, szuranie kapci Eunice, ciche ziewanie Gabriela.

Dochodzący z zewnątrz brzęk kluczy zwrócił uwagę czarodzieja-programisty; nie trzeba było jednak słuchu Slidera, aby rozpoznać kroki Lloyda w chwilę później. Mag wszedł do salonu bez powitania, nie zdejmując ciężkich butów, co musiało świadczyć o wielkim wzburzeniu.

Eunice podniosła się z ozdobnego krzesła. Rzadko widywała starego maga w podobnym nastroju; Lloyd Dark nie należał do szczególnie ekstrawertycznych osób, poza tym jego odporność na przeciwności losu

była niemal przysłowiowa.

– Coś się stało? – zapytała dziewczyna z niepokojem. – Wyglądasz jak chmura gradowa.

Lloyd nie odpowiedział. Popatrzył jej tylko prosto w oczy, w jego spojrzeniu zaś czaiły się ból, wściekłość i smutek. Eunice aż usiadła z wrażenia. Czarno odziany mag odwrócił się bez słowa, zmierniac na piętro.

– Zaczekaj. – Głos Timmy'ego, cichy, lecz doskonale słyszalny w całym pomieszczeniu, skłonił Lloyda do zatrzymania się w pół kroku. – Przynajmniej powiedz, o co chodzi.

Mag wyjął z kieszeni skórzanego płaszcza zmiętą kartkę i podrzucił ją w powietrze. Poszybowała delikatnie w kierunku stołu.

– Eunice, Gabriel, wyjaśnijcie Timothy'emu, co tam jest napisane – mruknął. – Ja muszę jeszcze coś przemyśleć.

Po czym bezzwłocznie udał się na górę.

Gabriel położył na stole tosta, sięgnął po kartkę i rozprostował ją, marszcząc jasne brwi.

– Nie wiem, czy to coś dla ciebie oznacza, Slider – powiedział z wahaniem – ale to są nagłówki ze starych gazet, jeszcze z końca XIX wieku. Artykuły o morderstwach, co do jednego. A pod spodem jakieś japońskie krzaczkę.

Timmy Hawkins powoli i ostrożnie wstał z krzesła w kuchni, pomagając sobie kulami. Niespiesznie dokuśtykał do salonu, bezbłędnie odnalazł starą kanapę przykrytą brunatnym, przetartym pokrowcem i umościł się na niej wygodnie. Dopiero wtedy odpowiedział, spokojnie jak zwykle.

– Teraz rozumiem. Albo raczej – domyślam się.

– Ja nie rozumiem – zaprotestowała Eunice. – I Gabriel najwyraźniej też. Oświeć nas, co jest grane, jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Lloyd tak się zachowywał.

– Problem w tym, że to jest dosyć prywatna historia – rzekł Timothy. – On musi sam wyrazić zgodę na jej opowiedzenie.

Gabriel prychnął.

– Nie ma wystarczająco prywatnych historii o mnie, żeby wszyscy ich nie znali – mruknął z pretensją w głosie. – Ale wy, przedwojenni, macie więcej tajemnic niż włosów na głowie. Po Mrocznej Wojnie doszli... zaraz... – zastanowił się piosenkarz. – Ja, Eunice, Titania, Eithne, Preston, pani profesor Lucy... To jest połowa. Dokładnie połowa. A druga połowa stara się traktować nas jak narybek i trzymać pod kloszem...

– Raany, Gabi, czy ty nie przesadzasz...? – zapytała Eunice, która w zasadzie zgadzała się z argumentacją przyjaciela, nie chciała jednak kłótni z Timmym.

– Mógł na przykład nie wziąć pod uwagę tego drobnego szczegółu, że wspomnienia z tamtych czasów są niekoniecznie przyjemne – powiedział Slider ponuro. – Trzydzieści lat temu cały nasz świat runął w gruzy. Zginęła Kaya, Krzysztof prawie całkowicie wycofał się z życia... ja... zresztą widać. Co tu dużo mówić. – Timmy zamilkł na chwilę, powstała niezręczna cisza. – Rekonwalescencja pozostałych była długa i trudna. Wspomnienia sprzed Wojny wzbudzają głównie gorzkie myśli. Jak sądzicie, dlaczego dom siódmy przy czterdziestej dziewiątej został opuszczony, a my podzieliliśmy się na mieszkańców Mandali i tutejszych? Czarodziej – artysta wymruczał coś niewyraźnie. Jedną z wad Gabriela był zupełny brak umiejętności przeproszenia.

– Z tym, że tak właściwie Gabriel ma rację – dodał Slider, prostując się na kanapie. – Nie powinniśmy ukrywać przed wami ważnych szczegółów z przeszłości, nawet jeśli są one dla nas bolesne. Zresztą historia, o której mowa, poprzedza Wojnę o kilkadziesiąt dobrych lat, chociaż w pewnym sensie może mieć z nią związek.

Znów zapadła cisza, słyhać było jedynie majestatyczne tykanie starego ściennego zegara oraz jednostajny szum deszczu. Szary, listopadowy ranek nie zapowiadał jaśniejszego dnia.

\* \* \* \* \*

Richard Daring był nieustraszoną oficerem marynarki Jej Królewskiej Mości w tych czasach, kiedy Wielka Brytania stanowiła najpotężniejsze mocarstwo świata, zaś Ameryka budziła jedynie podszyte pogardą zainteresowanie.

Hiroko Matsubara była śliczną japońską gejszą z Gion, która na swoje nieszczęście miała w sobie zbyt wiele ciekawości, niż na gejszę przystało.

Znacie wszyscy historię Madame Butterfly? Losy naszej młodziutkiej gejszy potoczyły się nieco inaczej, być może dlatego, że oficer był Anglikiem. Hiroko Matsubara została angielską żoną i popłynęła do Wielkiej Brytanii, gdzie urodziła syna. Z dała od rodzinnego kraju gasła jednak powoli, jak kwiat odcięty

od korzeni. Osierociła małego pół-Japończyka, który nie umiał znaleźć swojego miejsca wśród rówieśników. Pewnego dnia wsiadł więc na statek ojca, postanawiając dopłynąć na gapę do tajemniczej ojczyzny matki. Nie będziemy się tutaj rozwodzić nad wszystkimi perypetiami jego podróży, dość, że dotarł tam i został. Wkrótce też rozpoczął naukę u starego mistrza walk, podtrzymującego tradycję japońskiej szermierki. Prócz tego, praktykował on również filozofię Magii...

Dlaczego Lloyd opuścił Japonię? Podobno nie zgadzał się z Mistrzem, między innymi co do jego doktryny nie działania; zarzucał mu bierność. Ja jednak uważam, że wiele znaczenia miała też historia zawiedzionej miłości do pewnej młodej Japonki i niewątpliwy fakt, że Lloyd, olbrzym wśród Japończyków, młodzieniec wychowany w angielskiej kulturze, nie mógł też odnaleźć się w kraju matki. Nie wrócił jednak do Anglii. Udał się za ocean, ponieważ słyszał, że w pewnym barbarzyńskim, zachodnim kraju nikt nie zwraca uwagi na odmieńców, gdyż wszyscy są nimi – w pewnym sensie.

Gdy wreszcie znalazł się w Nowym Orleanie, oszołomił go ten niezwykle tygiel ras i narodowości. Nie był jedynym dziwnym człowiekiem pomiędzy tutejszymi dziwnymi ludźmi i chociaż skośne oczy emigranta oraz jego nienaganny brytyjski akcent budziły zaciekawienie, nie spotykał się tutaj z pogardą. Małomówny przybysz wkrótce znalazł zajęcie wśród pracującej ludności Nowego Orleanu, ochraniając portowe magazyny oraz pilnując rozładunków. Poznał także piękną Kreolkę, czarnooką Inez, która stała się jego kochanką oraz przewodniczką na ścieżkach Mocy. Spokojne życie nie trwało jednak długo.

Inez przystała do Odszczepieńców, tych samych wypaczonych Magów, którzy dokonali tutaj dzieła zniszczenia trzydzieści lat temu. Próbowwała również przeciwną na ich stronę swojego ucznia, lecz Lloyd oparł się tym namowom. Długi pojedynek zakończył się zwycięstwem młodego wtedy Maga, pogrążył jednak jego umysł w otchłani szaleństwa. Lloyd, blakając się po kraju, dotarł do przemysłowego miasta Farewell. Był owładniętym furją mordercą, niemal w każdym dostrzegał kolejnego Odszczepieńca. Gazety ochrzczyły tajemniczego zabójcę teatralnym mianem Krwawego Ostrza. Policja nie mogła go pochwycić.

\* \* \* \* \*

Slider przerwał swoją opowieść i zakasłał; w jego słabych płucach na chwilę zbrakło tchu. Eunice i Gabriel spoglądali na Timmy'ego, wstrząśnięci.

– Uczyłam się o nim w szkole – powiedziała drżącym głosem Eunice. Nie mogła uwierzyć, że Lloyd, ten opanowany, bohaterski człowiek, któremu wielu Magów i śmiertelników z Farewell zawdzięczało życie, był kiedyś bezlitosnym Krwawym Ostrzem. – Na lekcji historii. – dodała machinalnie.

– Wiedziałem, że to będzie coś takiego. Nagłówki mówiły same za siebie – mruknął Gabriel. Przez ponad dwadzieścia lat przebywania wśród społeczności magów z Farewell, zdążył się zorientować, że przeszłość większości z nich nie przedstawiała się różowo. W jego przypadku zresztą było podobnie. Jakkolwiek win Lloyda nie dało się pomniejszyć, czarodziej był już obecnie kim innym, niż sto lat temu. Dostał swoją szansę i wykorzystał ją w pełni. – Opowiadaj dalej, chcemy usłyszeć szczęśliwe zakończenie. Kaya i Krzysztof. Oni go wyleczyli, prawda?

– Nie tak od razu – dobiegł ich głos ze szczytu schodów. Wysoki człowiek w czarnym płaszczu powoli pokonywał stopnie, jakby przytłoczony brzemieniem dawnych lat. – Timothy... – rzekł z wyrzutem.

– Musiałem – powiedział cicho Slider. – Powinni dowiedzieć się tego już dawno temu.

– Istotnie, masz rację – zgodził się mag. – Co jednak nie uprawnia cię do robienia ze mnie bohatera dramatu za moimi plecami. – To zdanie zabrzmiało jak wyjątkowo nieudana próba żartu. – Nie przeciągajmy dłużej tej epickiej opowieści. Krzysztof i Kaya sprawili mi manto, na które w pełni zasłużyłem – westchnął. – Nie mogłem się nadziwić, kiedy ta czarownica, zamiast wreszcie ze mną skończyć, zwymyślała mnie od najgorszych i postanowiła zatrzymać w celu reedukacji.

– Cała ona. – Slider nie mógł powstrzymać melancholijnego uśmiechu.

– Przepraszam, że przeszkadzam – wtrąciła Eunice. – Czy dobrze zgaduję, że ktoś z dawnych wrogów znalazł Lloyda i chce się mścić?

Skośnooki mag skinął głową.

– Dobrze zgadujesz.

– Odszczepieniec? – tym razem pytającym był Gabriel. – Z tego co wiem, zadałeś im spore szkody podczas Mrocznej... o cholera... – Piosenkarz właśnie dostrzegł związek, o którym mówił Slider – pomiędzy przeszłością starego maga oraz niedawną wojną.

– Chęć zemsty Odszczepieńców na mnie mogła być przyczyną Wojny – potwierdził Lloyd.

Slider prychnął, zaprzeczając potrząśnięciem głowy.

– Nie tylko ty narobiłeś sobie wrogów.

– Faktem jest, że zamiast was bronić, stanowią zagrożenie – rzekł mag z goryczą. – Ktokolwiek uderza we mnie, może najpierw skorzystać z możliwości uderzenia w was. Ten człowiek na szczęście nie jest Odszczepieńcem. Widziałem jego ducha i nie znalazłem śladu wypaczenia; jego metody również są dalekie od ich sposobów działania. To mało przewidujący młodzik, a jednak skoro zna moje losy, może je również znać kto inny. Pozostając tutaj, narażam was.

– Cholerny samuraj – zdenerwowała się Eunice, zrzucając łokciem tosta ze stołu. – Jesteśmy jednym, kurde, klanem bez jakiegoś Arcymaga...

– Emily Spencer – przypomniał Gabriel złośliwie. – *Oficjalnie* ma tytuł.

– Pieprzę Emily Spencer. Pieprzę twoje przerośnięte poczucie odpowiedzialności. Bronisz nas kiedy możesz, a kiedy my możemy, bronimy ciebie. Jasne?

– Jasne. – Uśmiechnął się Lloyd. Był wzruszony tym, że jego towarzysze nie odrzucili go po usłyszeniu całej prawdy. Wiedział, że dał im się poznać już jako zupełnie inna osoba, że tamta historia wyda im się starą, straszną bajką. Mimo to do tej pory obawiał się reakcji młodszych magów. – Ale to ja muszę rozstrzygnąć tę sprawę.

– Jak to zrobisz? – zapytał chłodno Slider. – Bo zakładam, że wiesz, jak tego człowieka znaleźć? Co zrobisz, gdy go spotkasz? Przekażesz go Sędziom wyższych instancji i powiesz, dlaczego cię szuka?

– Wygląda na to, że kiedyś muszę stanąć przed jakimś sądem... – szepnął skośnooki mag, zwieszając głowę.

– Pieprzę! – pisnęła Eunice; Gabriel zaś złapał się za głowę.

– Lloyd, nie rób głupot – rzekł Timmy.

– To kwestia zasad – oświadczył twardo stary mag. – Idę go poszukać. Zniecierpliwił mnie, zbyt mocno go nastraszyłem i teleportował mi się sprzed nosa, lecz zdążyłem zapamiętać aurę. Teraz, po krótkiej medytacji, mogę pójść tropem rezonansu jego miecza. Jeszcze jest w mieście.

– Idziemy z tobą – zdecydowała Eunice.

– Nie ma mowy – zaprzeczył Lloyd. – Nie macie żadnego powodu, aby się narażać. A zresztą nie będę czekał, aż się przebierzecie.

Gabriel z poczuciem winy zerknął na swoją pidżamę z misiami.

– Porozmawiam z tym młokosem i jeśli dobrze pójdzie, wrócę przed obiadem – dodał skośnooki mag z kwaśnym uśmiechem.

– Trzymam cię za słowo – powiedział spokojnie Slider. – Pamiętaj, że Veronica obiecała przyjść dzisiaj i zrobić lasagne.

Po chwili za czarno odzianym magiem zamknęły się drzwi.

– Uważam, że trzeba go dopilnować – rzekł Gabriel, wykonując wdzięczny gest dłonią. Pidżama niemal natychmiast przeobraziła się w codzienne ubranie. – *Voilà!* Bezczynność – ha! – to nie w moim stylu.

– Raczej na odwrót – stwierdziła Eunice. – Trudno, urwę się dzisiaj z wf-u. Poczekajcie chwilkę.

I pobiegła przebrać się do łazienki, ponieważ nie знаła sztuczki z transformacją odzieży.

Timothy uśmiechnął się przewrotnie.

– Ja również jestem dżentelmenem i nie zostawiam przyjaciół w potrzebie. A nie przypominam sobie, abym dał słowo, że będziemy siedzieć w domu... Raczej nie dogonimy go samochodem, więc proponuję użyć szafy.

Tutaj należy być może wyjaśnić, co miał na myśli Lider, mówiąc o szafie. Otóż w mieście Farewell istniały dwie bliźniacze stare szafy, wykonane z drewna jabłoniowego. Jedną z nich posiadała pani profesor Lucy Preis, druga stała w piwnicy Domu Wschodzącego Słońca, w pomieszczeniu sąsiadującym z pokojem Homera. Obydwie mogły transportować użytkownika do innych miejsc, z tym że o ile szafa Lucy nastawiona była na inne światy, szafa Slidera (gdyż to on potrafił ją obsługiwać) teleportowała w zasięgu naszego. Z pewnymi ograniczeniami, rzecz jasna. Tim rzadko z niej korzystał; na krótkie dystanse wystarczały mu własne zdolności, a był na tyle dobry, że potrafił przenosić także dodatkowych pasażerów. Zastosowanie własnej Magii wobec trzech osób naraz stanowiło jednak zbyt wielkie ryzyko. Teleportacja nie należała do najbezpieczniejszych form wykorzystywania Mocy.

Tak więc cała trójka bezzwłocznie udała się do piwnicy, gdzie Slider nastawił Moc szafy na trop Lloyda.

\* \* \* \* \*

Lloyd mijał pokruszone ceglane mury, sędziwe zardzewiałe maszyny, omszałe stosy gruzu, resztki ścian i korytarzy. Krajobraz przypominał futurystyczną wizję miasta po katastrofie nuklearnej. Niegdyś w tym miejscu stała fabryka, nie mniej ponura niż jej dzisiejsze ruiny. Na przełomie XIX i XX wieku los ludzi pracujących w takich zakładach był nie do pozazdroszczenia. Dopiero potem, w wyniku burzliwych konfliktów, o których nie pamiętał już nikt prócz historyków, ukształtowały się nowe prawa i przywileje. Później, w latach trzydziestych fabryka zbankrutowała i pozostawiono ją samą sobie. Podobno ktoś nosił się z zamiarem wykupienia tego terenu, wyburzenia starych zabudowań i ulokowania filii własnego przedsiębiorstwa. Przeszkodziła mu rzeka, która pewnego deszczowego lata zmieniła swój bieg. Teren dawnej fabryki znalazł się tuż przy jej brzegu i odtąd za każdym razem, gdy poziom rzeki podnosił się, woda cierpliwie podmywała stare mury. Tak oto jedna z nielicznych pozostałości po przemysłowej epoce w dziejach miasta została skazana na śmierć z przyczyn naturalnych. Odwiedzali ją jeszcze młodzi narkomani i starzy bezdomni. Znać było ślady ich bytności; leżące pod murami rozbite butelki oraz przemieszane z błotem niedopałki papierosów.

Mag zostawił swój motocykl nieopodal, tam gdzie koła nie mogły jeszcze zatonać w błocie. Ze względu na czarodziejską naturę pojazdu, nie obawiał się kradzieży. Trzymał dłoń na rękojeści miecza, która drżała, wskazując niedaleką obecność drugiej katany, a co za tym idzie – jej właściciela.

Zanim jeszcze poczuł ostry zapach krwi, wiedział, że coś jest nie tak. Minąwszy kolejny na wpół zburzony mur, utwierdził się w swoich najgorszych przypuszczeniach.

W załomie, na stosie gruzu leżał martwy mężczyzna, młody Japończyk. Ubranie przesiąknięte miało krwią; miecz trzymał jeszcze w dłoni. Na twarzy, tym razem pozbawionej maski, zastygł wyraz przerażenia.

Lloyd rozpoznał go, a raczej domyślił się jego pochodzenia. Takeda był bardzo podobny do Reiki Midori, którą stary mag miał niegdyś śmiałość poprosić o rękę. Jej syn...? Sądząc po Mocy i doświadczeniu raczej wnuk albo prawnuk... W każdym razie, teraz już nie żył.

Ale co mogło go zabić?!

Nagle mag wyczuł za plecami jakąś obecność. Odwrócił się gwałtownie, dobywając katany.

– Lepiej schowaj to żelastwo – powiedział Slider, powoli wylaniając się zza rogu w towarzystwie Gabriela i Eunice. Cała trójka miała na sobie płaszcze przeciwdeszczowe.

– O Boże – jęknęła dziewczyna, dostrzegając ciało Takedy.

– Ja go nie zabiłem – rzekł Lloyd bezradnie, widząc jej przerażone spojrzenie. – Naprawdę.

– Oczywiście, że nie! – głos Gabriela ze zdenerwowania przeszedł w wyższą tonację. – Ten trup leży tutaj od dobrych kilku godzin. Ja zaraz zwymiotuję – dodał.

Deszcz padał równomiernie, rozładniając błoto i powoli, metodycznie wymywając krew z ubrania Takedy. Magowie stali w milczeniu nad ciałem człowieka, który praktykował Magię tak, jak oni, który starał się postępować wedle swoich przekonań – i którego nawet nie zdążyli poznać.



Lloyd myślał: Żegnaj, biedny, uparty wojowniku. Jak bardzo musiałeś mną gardzić, a jednocześnie pragnąć tej walki, że ukrywałeś przede mną twarz? Czy pamięć o mnie tak bardzo zatruwa serca młodych uczniów sensei Ikemury? Czy to może Reika zaszczepiła w tobie tę nienawiść?

Slider czuł, jak deszcz spływa po kapturze jego kurtki i myślał: Ostatni raz słyszałem taki ból w głosie Lloyda trzydzieści lat temu. Cokolwiek byś zrobił, aby zapomnieć o przeszłości, ona zawsze do ciebie wróci, uderzając w dawne rany...

Gabriel drżał na całym ciele; chociaż był jednym z najlepszych uzdrowicieli w Farewell, bał się widoku krwi. Stara fobia, pozostałość po przeżyciach młodzieńczych lat. Po raz drugi w życiu widział zmarłego, który nie odszedł z tego świata w sposób naturalny i nie mógł opanować paniki.

Eunice nie do końca wierzyła, że ma przed sobą prawdziwego nieboszczyka. Wyglądał jak manekin, jak filmowa dekoracja... Dziewczyna przypatrywała się szklistym oczom i kurczowo zaciśniętej na mieczu dłoni, zastanawiając się, czy to rzeczywiście był kiedyś żywy, oddychający człowiek. Spoglądała na poważne twarze swoich przyjaciół, aby upewnić się, że to się dzieje naprawdę.

Wreszcie otrząsnęła się z szoku, przerywając ciszę.

– Jest jakiś trop, ślad Mocy... nie wiem... jest coś? Żeby się dowiedzieć, kto to zrobił...

– Trzeba będzie się zastanowić – rzekł Lloyd ponuro.

– Nie każcie mi tylko zająć się obdukcją – wymamrotał Gabriel z nutką hysterii w głosie.

– Sza...! – rozległ się nagle szept zza ich pleców. – "To" czai się gdzieś w pobliżu...

Tylko jeden jedyny człowiek na świecie umiał niespostrzeżenie podejść Lloyda i oszukać niesłychanie wrażliwy słuch Slidera. Żywa legenda, blisko ośmiusetletni czarodziej, o którym w innych częściach świata opowiadano sobie niestworzone historie...

– Chris...! – Eunice rozpromieniła się na widok nowo przybyłego.

Krzysztof Podróżnik przytknął palec wskazujący do ust, nakazując milczenie. Uważnie rozglądał się dookoła; jego szare oczy miały charakterystyczny, zamglony wyraz – mag próbował obserwować kilka płaszczyzn jednocześnie.

Z pozoru stary samotnik nie wyglądał na kogoś wiekowego, czy też dysponującego jakąkolwiek mocą. W przeciwieństwie do czwórki znanych już nam magów, na pierwszy rzut oka nie zwracał na siebie uwagi. Był mężczyzną średniego wzrostu i doskonale przeciętnej urody. Mokre kosmyki jego jasnych, nieporządnie przystrzyżonych włosów przylegały do policzków pokrytych dwudniowym zarostem. W długim prochowcu i wytartym kapeluszu sprawiał wrażenie trzydziestokilkuletniego, podrzędnego literata – jak na informatyka był bowiem nieco zbyt szczupły i schludny.

Krążące plotki głosiły, że po śmierci Kai czarodziej stracił większość swojej potęgi. Lloyd stanowczo zaprzeczał takim pogłoskom. Prawda, od czasu pamiętnej wojny Krzysztof najchętniej przesiadywał w swojej pracowni, pisząc felietony dla rozmaitych periodyków i wywołując artystyczne fotografie. Zrezygnował z etosu wiecznego buntownika; w niepamięć odszedł jego dawny apetyt na życie. Gdy jednak okoliczności zmuszały go do działania, okazywał się być tym samym legendarnym Podróżnikiem, co niegdyś. Co prawda, trzeba było nie lada katastrofy, aby czarodziej choć na chwilę opuścił swoją samotnię...

Lloyd wiedział o tym doskonale; dlatego też nagłe pojawienie się Krzysztofa od razu wzbudziło w nim niepokój.

– Co masz na myśli...?

– Mieszkaniec Cieni. Przyszedł za nim i nie zamierza odejść z własnej woli. – Brzmiała spokojna, cicha odpowiedź.

Jego słowa, pozornie enigmatyczne, dla magów były aż za jasne. Gabriel syknął, Slider z niedowierzaniem pokręcił głową, Eunice wydała z siebie ciche "ups".

Otóż teleportacja nie bez powodu należała do najtrudniejszych sztuczek, jakich próbowali magowie. W dosyć brutalny sposób naruszała barierę niemożliwego, zwracała więc na siebie uwagę Rzeczywistości. Poza tym nie było to takie zwykłe przenoszenie się w przestrzeni. Teleportując się, mag przechodził na skróty przez sąsiednie sfery, w tym świat Cieni, wymiar pełen niespokojnych dusz i porzuconych idei. Jeśli czarodziej był nie dość sprytny, ostrożny i doświadczony, narażał się na wielkie niebezpieczeństwo. Mógł ucieść od okrutnej zemsty Rzeczywistości; mógł na zawsze utkwąć pomiędzy Cieniami; wreszcie coś mogło przyjść za nim. Ta ostatnia, najgorsza możliwość niezwykle rzadko stawała się faktem. Cienie nie zawsze były zainteresowane powrotem – tak jak miało to miejsce teraz.

Skośnooki mag rozejrzał się wokół; jego nozdrza poruszały się, jakby wietrzył czyjś zapach.

– Chris... nie możesz tego czegoś zała... – zaczęła Eunice szeptem i nie skończyła.

– PADNIJ!!! – krzyknął nagle Lloyd, popychając dziewczynę na ziemię.

Obrót, błysk, brzęk. Miecz Lloyda zderzył się z czarnym ostrzem skaczącego w jego kierunku przeciwnika. Mag patrzył prosto w oczy cieniejszej sylwetki jego wzrostu i jego budowy...



– Wycofujemy się! – oznajmił Krzysztof do reszty czarodziejów, posłusznie leżących w błocie.  
– Pomóż mu, do jasnej cholery! – warknął Slider, sam bezskutecznie próbując podnieść się z ziemi. Eunice podała mu ramię i Timmy wyjątkowo przyjął jej wsparcie.  
Brzęk, brzęk, przeciwnik cofnął się, Lloyd zmusił go do krążenia. Widać było, że próbują sił.  
– Nie mogę – stwierdził wiekowy czarodziej beznamiętnie. – Wy się lepiej temu przyjrzyjcie.  
– Wielkie dzięki za dobrą radę, staruszkę – oświadczył Tim Hawkins wściekłym tonem, ale uruchomił wszystkie nadzmysły, jakie posiadał, łącznie z widzeniem w podcierwieni... co, niestety, nie przyniosło wielkich efektów, ponieważ przybysz nie wydzielał ciepła.  
– To... to on, to jest, ten tam to jest on...! – jęknął Gabriel zupełnie niegramatycznie. Kontekst jego słów był jednak całkiem zrozumiały.

Skośnooki mag walczył z istotą do złudzenia przypominającą siebie samego, przedstawionego w swoistym teatrze cieni. Zjawa miała identyczną posturę, styl walki i umiejętności. Wszystko działo się tak szybko, że nie sposób było nadążyć za nimi wzrokiem. Wydawało się, że pojedynek toczą dwie bliźniacze, czarne postacie.

– W pewnym sensie. – Krzysztof stoicko skinął głową. – Tylko Lloyd może mu cokolwiek zrobić, więc lepiej pozamykajmy przejścia.  
– Chris – rzekł Slider, całkiem wstrząśnięty. – Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że połączenie z wymiarem Cieni jest nadal otwarte?  
– Przed chwilą nie było, ale nasz gość nieostroźnie wymachuje mieczem i już wyciął w czasoprzestrzeni kilka nowych – rzekł Podróżnik, obracając się na pięcie i rutynowo zamykając dłoń na falującej w powietrzu czarnej dziurze. – Eunice, Gabriel, zajmijcie się tymi za tamtym murkiem. Ja z Timmym doskonale sobie tutaj poradzimy...  
– A co z Lloydem?! – spanikowała Eunice.  
– Jest profesjonalistą. Zdziwiłbym się, gdyby przegrał z czymś, co już kiedyś pokonał...

*Furia. Niepohamowana, niepowstrzymana furia. Uosobienie gniewu.*

"To nie ja. To już nie ja."

Uderzenie, dolny blok, uderzenie, obrót, górny blok.

*Wciąż taki sam, jak wrzątek pod pokrywką.*

"Nieprawda. Znam umiar. Mam go już we krwi."

Blok, blok, blok...

*Wczoraj wyglądało to inaczej.*

"Ja straszylem. Ty podciąłbyś mu gardło."

Potężne uderzenie, cienista sylwetka odskakuje...

*Sprowadziłeś mnie. Zabiłeś go.*

"To on tak bardzo pragnął spotkać się z tobą, że cię wezwał. Spełnił własne życzenie. Dobrze o tym wiesz."

Cień cofa się pod uderzeniami Lloyd'a. Jeden, dwa, trzy kroki.

*Ale istnieję. Nadal istnieję i można mnie przyzwać.*

"Nie istniejesz. Jesteś siedmioma miesiącami mojego szaleństwa."

Stwór cofa się.

"Jesteś poronionym wytworem chorego umysłu."

Cień odskakuje, w oczach Lloyd'a widać spokojną, chłodną determinację. Krople deszczu otaczają go niczym drugi płaszcz. Uniesiony miecz błyszczy w słabym dziennym świetle.

"Jesteś śmieszna skazą na starej fotografii. Jesteś czymś, co dawno temu zesłałem do otchłani. Jesteś marną chwilą w porównaniu z resztą mojego życia."

Mag uderza raz za razem, istota broni się rozpaczliwie, próbując skoncentrować na nim cały swój gniew. Bezskutecznie.

– CIEBIE NIE MA! – krzyczy Lloyd, podczas gdy jego miecz odnajduje lukę w obronie przeciwnika. – I nigdy nie będzie! – Ostrze przecina zjawę od czubka głowy aż po pas. – Pozbywam się ciebie raz na zawsze i nikt już nigdy cię nie przywoła!

Cienista sylwetka rozwiązała się na podobieństwo dymu w tym samym momencie, w którym Slider domknął ostatnie "dzikie" przejście. W ten oto sposób skośnookiemu magowi pozostał tylko jeden cień, który niekiedy przyjmował też postać jego opiekuńczego ducha.

Zapadła chwila niemal całkowitej ciszy, zakłóconej jedynie monotonnym szumem deszczu. Eunice otarła czoło zabłoconą dłonią, Gabriel zdecydował, że najwyższy czas zmarnować trochę Mocy na osuszenie się. Wreszcie odezwał się Krzysztof.

– Dobrze, że wreszcie to rozumiałeś.

– Łatwo coś sobie wytłumaczyć słowami, trudniej w to uwierzyć. Zresztą sam o tym wiesz – rzekł Lloyd z pewną melancholią w głosie.

– Tak – potwierdził Krzysztof z odrobiną smutku. – Wiem. Przeszłość drąży nas tylko wtedy, kiedy sami jej na to pozwolimy. I przy okazji szkodzi innym. Ale pozbycie się własnych upiórów – to nie jest prosta sprawa.

– Wiecie – odezwała się Eunice z zakłopotaniem. – Jak by tu tak powiedzieć...mądrze mówicie, ale ja się właśnie spóźniam na matkę. I ten, tam, nieboszczyk tutaj leży i się ten, no, rozkłada...

– Proszę – rzekł Gabriel bolesnym tonem. – Nic mi nie mówcie o nieboszczykach.

Krzysztof Podróżnik pod osłoną kapelusza popatrzył w niebo.

– Denerwuje mnie ten deszcz – stwierdził mimochodem.

Nie minęło wiele czasu, a ulewa stopniowo przeszła w mżawkę, aż wreszcie umilkła, jakby zawstydzona.

\* \* \* \* \*

Sensei Ikemura, starszy, lecz nadal krzepki człowiek, wypoczywał przed swoim domem, siedząc na tarasie i sącząc gorący ramen<sup>1</sup>. Dzień był chłodny, lecz raczej słoneczny; w miasteczku panowała atmosfera rozleniwienia. Na tej małej japońskiej wysepce, z dala od ruchliwych metropolii, czas płynął wolniej, a życie toczyło się spokojniej.

– Dzień dobry, Ikemura-sensei.

– Ach, dzień dobry, Hiro-san – rzekł stary mistrz, wstając na powitanie gościa. – Dawnośmy się nie widzieli. O, całe wieki żeśmy się nie widzieli.

– Tak. – Lloyd skinął głową. – To prawda.

– Taak – westchnął Ikemura-sensei, spoglądając na nosze leżące pod żywoplotem. – Wiedziałem, że tak się to dla niego skończy, cóż, nie chciał mnie słuchać.

– Nawet nie mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że to nie ja go zabiłem – powiedział Lloyd. – Prawda wymaga świadectwa, otwieram więc przed tobą swój umysł, Ikemura-sensei – dodał, zginając się w głębokim ukłonie.

– Hm, dziękuję ci bardzo, Hiro-san – odpowiedział sensei, przeglądając tylko tyle wspomnień, ile potrzebował. – Jest tak, jak przewidywałem... Daj sobie spokój z nadmierną pokorą. Nie ma potrzeby. Widzisz, ludzie, którzy odgrzebują sprawy dawno odpokutowane, wybaczone i zapomniane, sami doprowadzają się do kłębki, budząc i karmiąc dawne koszmary. Młody Takeda nie mógł przeboleć, że zło – w twojej postaci – nie zostało ukarane, tak jak to sobie wyobrażał. Nie dawał sobie wytłumaczyć, że świat nie składa się tylko z czerni i bieli, światła i cienia. Że prawo miecza nie jest jedynym słusznym rozwiązaniem. Obserwowałem, dokąd zmierza śladem własnej obsesji, ale nie mogłem go powstrzymać bez końca. Każdy jest kowalem własnego losu, Hiro-san.

– Dlaczego mam wrażenie, że mówisz o mnie, Ikemura-sensei? – mruknął Lloyd. – Czy cały czas wiedzieliście, gdzie jestem? A może całe dōjo śledziło moje losy?

– Oczywiście, że tak. Co prawda, nie było to takie łatwe, dopóki podróżowałeś. Kiedy odnaleźliśmy cię w Farewell, podjąłem decyzję o zakończeniu żywota mojego szalonego ucznia... i zrobiłbym to, gdyby ktoś całkowicie nie zmienił sytuacji.

– No tak – prychnął mag. – Doskonale. Dobrze wiedzieć, że cały czas byłem pod strażą.

– Od razu pod strażą. Przypatrywaliśmy się od czasu do czasu i tyle. Nie jesteś pępkiem świata, dōjo ma własne problemy. – Uśmiechnął się sensei Ikemura. – Jeśli cię to pocieszy, tobie również od dawna przysługuje tytuł nauczyciela.

Lloyd wzruszył ramionami.

– My w Farewell nie uznajemy tytułów.

– Ach tak, "jej" zwyczaj. – Mistrz zamyślił się na chwilę. – Miałeś szczęście, Hiro-san. Mogłeś naprawić błędy przeszłości, znalazłeś wreszcie swoje miejsce. Nie każdy dostaje taką szansę, a już zupełnie niewielu potrafi ją wykorzystać.

– Doceniam to. Masz dla mnie jeszcze jakąś dobrą radę na pożegnanie, Ikemura-sensei? – uśmiechnął się

mag.

– Aha. Załóż czasem coś kolorowego. Czarny i czarny, czy to ci się nigdy nie znudzi...?

Błask słońca opromieniał taras, lekki wiatr poruszał gałęziami starej wiśni.  
Cienie zmieniały się jak w kalejdoskopie.

Warszawa, 2002